

Liber Mortuorum

Śp. Ks. Jerzy Arpad CHOWAŃCZAK (1935-1995)

Urodził się 17 maja 1935 r. w Warszawie w parafii św. Michała na Mokotowie. Jego rodzicami byli Jan Daniel i Jadwiga z d. Guze. Jako dziecko przeżył dramat Powstania Warszawskiego i gehennę obozu przejściowego w Pruszkowie, być może że to doświadczenie i praktyka otwartego domu, gdzie znajdowali wsparcie potrzebujący w czasie okupacji, naznaczyły go wrażliwością na drugiego człowieka.

Naukę w szkole średniej im. Tadeusza Reytana ukończył w 1952 r. uzyskując świadectwo maturalne z wysoką średnią. Wyróżniał się w tym okresie swego życia nie tylko zaletami umysłu ale i serca, o czym świadczą wspomnienia ludzi, którzy go znali z codzienności. W tym też roku rozpoczął studia w Wyższym Metropolitalnym Seminarium Duchownym w Warszawie, które zakończył 1957 r. Ze względu na swój młody wiek czekał na święcenia kapłańskie do następnego roku. Przyjął je z rąk Ks. Biskupa Zygmunta Choromańskiego dnia 29 czerwca 1958 r. Już po otrzymaniu święceń diakonatu został skierowany przez Ks. Prymasa na studia w zakresie katolickiej nauki społecznej w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, które odbywał od 1957 do 1960 r. uzyskując magisterium na wydziale filozofii na podstawie pracy pt.: "Przemiany współczesne małżeństwa według wypowiedzi Piusa XII".

W Seminarium i w czasie dalszych studiów dał się poznać profesorom, wychowawcom i kolegom nie tylko od strony swoich możliwości intelektualnych, ale również i duchowych. Był ciekawy świata, organizował niemalże do końca swego życia wyprawy mające charakter duszpasterski ale i poznawczy. Jego częste wizyty na Słowacji jeszcze w czasach trwania komunizmu zawsze były cenną pomocą dla Kościoła żyjącego w "katakumbach". Ks. Jerzy bywał niemalże co roku za granicą, ale znał i cenił sobie piękno ojczystego kraju.

Od 8 października 1958 r. do 18 września 1981 r. był wikariuszem w parafii św. Michała w Warszawie. Był to czas jego młodzieńczego, pełnego zapału i inwencji twórczej, posługiwania duszpasterskiego. Ks. Prymas Stefan Wyszyński, świadomy jego doświadczeń duszpasterskich, mianował go profesorem Wyższego Metropolitalnego Seminarium Duchownego w Warszawie, zlecając mu 31 sierpnia 1968 r. wykłady z teologii pastoralnej, które prowadził aż do śmierci. Był cenionym wykładowcą, umiejętnie przekazującym swoje doświadczenia duszpasterskie i wiedzę teoretyczną. Pod jego kierunkiem w Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie powstało 37 prac magisterskich oraz 5 prac licencjackich.

Dnia 9 marca 1976 r. na wydziale filozofii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego obronił pracę doktorską pt.: "Formacja młodych kapłanów na przykładzie Archidiecezji Warszawskiej", napisanej pod kierunkiem ks. prof. Romualda Raka. W 1980 r. w uznaniu jego zasługi dla Kościoła warszawskiego

otrzymał od Ks. Prymasa przywilej noszenia rakiety i mantoletu. W tym też roku został jednym z redaktorów Mszy św. "radiowej". Jego sposób sprawowania Mszy św. i jego homilie skłaniały tak wierzących jak i poszukujących do refleksji religijnej. Był także cenionym komentatorem czterech pielgrzymek papieskich do Polski.

Od 18 września 1981 r. do 3 lutego 1984 r. był wikariuszem z prawem następstwa w parafii św. Michała w Warszawie. W tymże roku otrzymał nominację na proboszcza tejże parafii. Funkcję tę pełnił do 3 września 1986 r. Jako proboszcz odznaczał się gorliwością i troską o rozwój duchowy swoich parafian. Miał świetny kontakt z młodzieżą licealną i studencką. Wielu młodych ludzi za czasów jego proboszczowania, pociągniętych jego przykładem życia, wstąpiło do Seminarium Duchownego i większość z nich wytrwała w drodze do kapłaństwa. Był szanowany i lubiany przez parafian za swoją postawę i posługę kapłańską.

Ks. Prymas Józef Glemp, mając na względzie dobro duchowe diecezji i Seminarium Duchownego, mianował go Ojcem Duchownym. W roku 1987 otrzymał godność kapelana Jego Świątobliwości. Niestrudzenie służył ludziom charyzmatem mądrego głoszenia Słowa Bożego i kierownictwa duchowego, co szczególnie ujawniło się w jego posłudze Ojca Duchownego w seminaryjnej wspólnoty. Ta posługa ukazała jego dojrzałe ojcostwo duchowe oraz miłość tych, którzy zmierzali do kapłaństwa. Swoją życzliwością i troską ojcowską ogarniał początkujących w pracy duszpasterskiej, bądź przeżywających jakiegokolwiek trudności osobiste.

Po długiej chorobie odszedł do Pana w dniu swoich sześćdziesiątych urodzin tj. 17 maja 1995 r. W pamięci kolegów, współpracowników oraz alumnów została jego mądrość, dobroć, umiłowanie kapłaństwa i Kościoła.

Bibliografia Ks. Jerzego A. Chowańczaka

1. Książki

- *Słowo na co dzień. Okres Adwentu, okres Narodzenia Pańskiego*, Warszawa: Fundacja Prymasa Tysiąclecia 1993.

- *Słowo na co dzień. Okres Wielkiego Postu*, Warszawa: Fundacja Prymasa Tysiąclecia 1994.

- [Komentarz biblijny do czytań liturgicznych na każdy dzień], *Agenda biblijna '96*, Warszawa: Verbinum 1995.

2. Artykuły

- Księża mówią o katechizacji. [Wypowiedzi Ks. Romana Murawskiego i Ks. Jerzego Chowańczaka], *Tygodnik Powszechny* 1977, nr 16, 1-2; nr 17, 4.

- Odszedł Wikariusz Generalny Prymasa Tysiąclecia, [Rzecz o Ks. Infułacie Stefanie Piotrowskim], *Przegląd Katolicki* 1990, nr 34, 2.

- [Głos w dyskusji na temat "Kandydaci do kapłaństwa: Kim są? Jacy będą?"], *Warszawskie Studia Teologiczne* 7(1994), 313.

3. Homilie - zamieszczone w następujących publikacjach:

- *Świętokrzyskie kazania radiowe*, Kraków: Nasza Przeszłość 1983-1995, tom 1-7.

- *Współczesna Ambona* 12(1984) nr 4, 36-39; 18(1990) nr 2, 26-28; 18(1990) nr 3, 40-42; 18(1990) nr 4, 4-7; 19(1991) nr 1, 6-7; 19(1991) nr 2, 108-110; 19(1991) nr 3, 104-106; 20(1992) nr 2, 61-63; 21(1993) nr 1, 50-52; 21(1993) nr 2, 79-81; 21(1993) nr 3, 26-28; 22(1994) nr 1, 24-26; 22(1994) nr 2, 69-70; 22(1994) nr 4, 27-29; 23(1995) nr 1, 54-56; 23(1995) nr 2, 82-85.

Opracował ks. Henryk MAŁECKI

Z kazania pogrzebowego

Słuchaliśmy przed chwilą słów Ewangelii św. Jana (19,25-27), zawierającej dialog między Nieskończoną Miłością a Matką Pięknej Miłości. Niech słowa tego dialogu staną się mottem rozważań o tym, który Maryję wziął za Matkę, a który kapłaństwem swoim służył Jej synowi - Jerzemu. Z ofiarą i miłością wszedł w ten cudowny dialog, jedyny, jaki liczy się między Bogiem a człowiekiem.

Ks. Jerzy Chowańczak, kapłan Chrystusa. Jak każdy kapłan z ludu wzięty, miał swoje miejsce na ziemi. Jego miejscem było serce Polski - Warszawa, szczególnie zaś Mokotów, gdzie się urodził, i Krakowskie Przedmieście.

Kiedy przychodził na świat (opowiadała mi Jego mama), słychać było dzwony, które biły na pogrzeb Marszałka Piłsudskiego. Dźwięk tych patriotycznych dzwonów towarzyszył jego rodzinie i jego życiu, rodzinie, której zasobny dom stawał się w czasach okupacji hojny dla wielu potrzebujących. Może właśnie te gesty miłości, które dostrzegł w domu, tak nurtowały małego Jerzego, że zechciał potem, ku zdumieniu całej rodziny, żeby nie powiedzieć wbrew, pójść do seminarium, aby służyć jako kapłan.

A były to czasy, kiedy taka decyzja wydawała się szaleństwem. Wstępowałem do seminarium w tym samym roku. Pamiętam, jak towarzyszyły mi płynące z głośników słowa, że już niedługo ten obskurantyzm płynący z ciemnogrodu się skończy. A my mimo to szliśmy do Seminarium. Jerzy nie wyobrażał sobie życia inaczej jak tylko w tej służbie, chociaż nawet podczas studiów władze miały zastrzeżenia do syna kapitalisty. Spokojnie kontynuował studia i dał się poznać profesorom jako nieprzeciętnej miary intelekt. Oceniali to, dając mu najwyższe noty na koniec roku. Natomiast na co dzień my, klerycy, ocenialiśmy jego gorące serce. I dlatego wielu zabiegało o Jego przyjaźń, szukając rady, pomocy, a czasem tylko towarzystwa czy uśmiechu, wstuchując się w opowiadania, które snuł z finezją i poczuciem niezwykłego humoru. Był takim, który stawał się znany w seminarium i młodszym i starszym kolegom.

Nie mógł przyjąć święceń w odpowiednim czasie, bo mu wieku zabrakło. Ten bardzo dojrzały już w seminarium człowiek był za młody w latach. Czekał na święcenia, poszedł na studia, by parać się socjologią. Ale rwał się ciągle do pracy duszpasterskiej, tutaj, w parafii św. Michała, czy też w mojej pierwszej parafii, gdzie mnie często odwiedzał i gdzie było bardzo dużo pracy. Gdy zjawiał się, błagał nas, by mu pozwolić pomagać czy pójść na pogrzeb, czy biec gdzieś daleko do chorego, czy spowiadać, czy głosić kazania, cokolwiek, bo mówił: Zajmuję się nauką, a moim pragnieniem jest duszpasterstwo. Po studiach w

KUL ks. infułat Stefan Piotrowski, który przyglądał się Jego powołaniu, młodemu kapłańskiemu życiu, cóż mógł zrobić innego, jak tylko zostawić Go w parafii, którą swym dynamizmem okupował i której de facto stał się duszpasterzem, chociaż studiował daleko w Lublinie.

Został więc wikariuszem i od tej pory piętno jego nieprzeciętnej osobowości zostało wpisane w dzieje tej parafii. Tutaj wyszukiwał wszystkich, którzy chcieli, lub czasem nie chcieli, słyszeć o Panu Bogu, by uczyć ich miłości do Niego. Niezwykły czar jego kapłańskiej osobowości sprawiał, że spośród Jego uczniów stawała prawie cała procesja kandydatów do seminarium. To było coś niezwykłego, czasami dla kolegów wręcz podejrzanego, jakaś "mafia św. Michała", a byli to po prostu uczniowie Ks. Jerzego.

Promieniował swoim kapłaństwem i kiedy ksiądz proboszcz tej parafii, wspaniały człowiek, duszpasterz i niezwykła osobowość, dostrzegł, że jego siły słabną, nie miał innego wyboru, jak tylko zasugerować, by jego następcą został Ks. Jerzy Chowańczak. Trudno mi mówić o Jego proboszczowskiej pracy, bo niemal wszyscy jesteście jej świadkami. (...)

W roku 1980 został jednym z redaktorów Mszy św. radiowej. Jego słowo głoszone dotąd w tej parafii, rozchodziło się teraz pod opieką św. Michała na falach eteru po całej Polsce oraz po wielu krajach, dokąd głos z Polski, w trudnych czasach i mimo zamkniętych granic, docierał. Dostawał listy z kraju i z zagranicy, z wdzięcznością za mądrość, piękno i urok polskiego słowa, którym ich raczył. Ta wielka parafia, której na imię cała Polska, dobrze Go rozumiała, wsłuchując się w każde słowo i w każdą myśl. Kochał bardzo te Msze radiowe. Nawet kiedy był bardzo chory, ryzykował i widząc bardzo słabo odprawiał Msze św. z pamięci, a potem mówił homilię już bez zwyczajowych kartek, bo czytać było zbyt trudno. Jeszcze teraz, w maju, miał odprawiać radiową Mszę św. i martwił się, czy będzie mógł spełnić ten obowiązek. Nie zdążył.

Wspominał ksiądz Prymas w swoim liście, a także ksiądz biskup o trudnej decyzji, którą musiał podjąć. Miał zamienić swoją mokotowską ovczarnię, z którą tak bardzo był związany, na duchowe ojcowanie parafii seminarialnej, wychowującej młodych kapłanów, by mogli służyć innym parafiom. Była to wielka rozterka, czy przyjąć ten obowiązek. I walczył ze sobą, ale słowo biskupa zdecydowało. Powiedział: TAK! Był przecież kapłanem i poszedł do Seminarium, a jaki był żal, kiedy opuszczał tę swoją umiłowaną parafię, sami dobrze wiecie.

Otrzymał tytuł Ojca, ale nie był to tytuł z nominacji, była to rzeczywistość, bo już przedtem wielu alumnom, klerykom i kapłanom, którymi się zajmował ojcował. Każdą wolną chwilę, których miał zresztą niewiele, każdą chwilę wypoczynku wykorzystywał, by jeździć po diecezji i odwiedzać młodych kapłanów. Opowiadał mi nieraz o tych wędrówkach, rzucał nazwy parafii, miejscowości, tras, które przebywał często pieszo, czasem na rowerze, autobusem czy jak się dało, by podać komuś pomocną dłoń.

O takiej osobowości, umyśle, sercu i charakterze można by mówić długo. Ale Ks. Jerzy, jeżeli stawał na ambonie, nawet o najważniejszych i najtrudniejszych sprawach, mówił zwięźle i bardzo mądrze. Nieraz z uśmiechem dawał mi znać, że mógłbym go trochę w tym naśladować, co zresztą nie zawsze odnosiło skutek.

Dlatego myślę, że będzie po Jego myśli, jeżeli pozwolę sobie zakończyć to przemówienie dodając drobny, jaśniejszy akcent.

Otóż Ks. Jerzemu, jak obserwowałem przez wiele lat naszej wspólnej przyjaźni, wiele rzeczy udawało się jak gdyby od niechcenia. Mówił: "Widzisz, martwiłeś się, a nie trzeba było". Teraz zmarł 17 maja, dokładnie w dzień swoich 60-tych urodzin. Ks. biskup Kraszewski przyszedł do Niego jako do chorego i jubilata z kwiatami. A były to pierwsze kwiaty, jakie otrzymał jako nieżyjący. Dzień narodzin dla ziemi stał się dniem narodzin dla nieba. Czyż to nie pięknie? Ci, co go znali, powiedzą: To dokładnie w jego stylu. I drugi szczegół. W momencie, kiedy podnoszono ciało z morza boleści, by wynieść je z pokoju, zabrzmiały dzwony. Bardzo je kochał, a nawet pędził swoich kleryków, by nie zapomnieli bić w nie, kiedy trzeba. Te dzwony zabrzmiały teraz jak w momencie narodzin, a nie było to umówione. Proszę wybaczyć te osobiste skojarzenia, ale przy-niosły mi one pewne ukojenie i spokój. Pomyślałem sobie: To pewnie małe znaki szczęścia, które masz już w niebie. Spokojniejszy wróciłem do siebie.

Wróćmy do Ewangelii św. Jana. Unieśmy swą myśl do bram wieczności i posłuchajmy, czy nie brzmią tam słowa oto Matka twoja, oto syn Twój... Jerzy. Amen.

Ks. Jan SIKORSKI